



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisław Zawisza

Wojna oczami dziecka

W chwili wybuchu II wojny światowej miałem zaledwie cztery lata. Razem z mamą i starszą siostrą mieszkaliśmy w Warszawie. Ojciec – inżynier Jan Zawisza, zajmujący wysokie stanowisko w Zakładach Amunicyjnych w Skarżysku, był gościem w naszym domu, dlatego co lato jeździliśmy do niego. W tym roku jednak mama postanowiła pozostać w mieście, uważając że tak będzie rozsądniej, co dla mnie jako dziecka było bardzo nie w smak.

Pierwszego września 1939 roku z zainteresowaniem oglądałem wysoko latające samoloty i początkowo oczywiście nic więcej nie mogłem z tego zrozumieć. Jednak pierwsze bombardowania miasta, ryk syren, popłoch na ulicach i pożary okazały się bardzo realnym doznaniem budzącym przerażenie. Kilka dni później mama, wyczuwając nadchodzące zagrożenie, uciekła z nami do swego brata Bolesława mieszkającego w Kobyłce koło Wołomina. Kierowała się panującym ogólnie przeświadczeniem, że tam to już Niemcy nie dojdą. Nikt nie uwierzyłby wtedy, że kilka lat później będą pod Moskwą! Tym sposobem jednak ominęło nas piekło oblężenia Warszawy. U wujka Bolka były już jakieś dwie rodziny, które tak jak my szukały ratunku poza miastem. Oczywiście nie było co jeść. Mamusia przez sześć tygodni piła tylko wodę, dzieciom zostawiając skąpe ilości jedzenia. W krótkim czasie ciężko się rozchorowałem. Leczono mnie surowym białkiem z jajek, co okazało się jedynym dostępnym i skutecznym lekarstwem. Pamiętam jak któregoś dnia syn wujka Bolka wytrzasnął skądś świński łeb. Było na kilka dni jedzenia...

Po zajęciu Warszawy przez Niemców mama zdecydowała się na powrót do domu. Szliśmy piechotą wzdłuż torów kolejowych. Ktoś mnie niósł „na barana”, jakiś odcinek drogi jechałem czymś dzieciennym wózkiem, a nawet dorożką. Mijały nas maszerujące oddziały Wehrmachtu. Jeden z tych „nadhłdzi” odłączywszy się od swojej grupy wskoczył na stopień dorożki. Trzymając w ręku wielką bułkę z szynką zwrócił się do mamy, aby dała ją mnie (byłem blondynkiem z niebieskimi oczami o takim bardziej niemieckim wyglądzie). Mama bała się, że może być zatruta, wahała się czy wziąć, ale przecież nie mogła odmówić temu zwycięsko kroczącemu na wschód przedstawicielowi narodu panów. Ze względu na ogólnie panujący głód ktoś zaryzykował, a resztę pewnie ja zjadłem.

Dotarliśmy do Warszawy w okolicy miejsca, gdzie się urodziłem, to znaczy naprzeciwko Dworca Wileńskiego. Mama postanowiła pójść z nami na Brukową 29 do swej żyjącej jeszcze wtedy matki. Do naszego mieszkania w śródmieściu bała się iść, bo było już bardzo późno. Na rogu Targowej i Żąbkowskiej były jeszcze wysokie drzewa i trawnik z wieloma grobami ludzi, którzy zginęli we wrześniu. Moja babcia Włodzimiera z Wilskich przyjęła nas do siebie „na wikt i opierunek”. Z tym wiktem to było bardzo źle. Nie pamiętam co jadły mama z siostrą, ale tych dwóch gotowanych przez babcię kartofel-

ków – dla niej i dla mnie po jednym – nigdy nie zapomnę. Wprawdzie zachowała się mamy biżuteria i niby było co przejadać, ale podobno nie można było nic dostać.

Zaraz po zajęciu Warszawy Niemcy rozpoczęli aresztowania Polaków według przygotowanych wcześniej list. Gestapo zabrało mojego wujka Józefa Kuhna, który do wojny był komendantem policji w którymś z posterunków na Pradze, a także jego syna Mariana. Niedługo potem z Mauthausen przysłano urnę z prochami wujka, natomiast losów jego syna do dzisiaj nie udało się ustalić. Zaginął bez wieści jak wielu Polaków.

Długo pozostawałem pod wpływem wstrząsu doznanego od huku baterii dział w czasie pobytu w Kobyłce. Żołnierze polscy ustawili działa w ogrodzie u wujka i jak tylko Niemcy tam doszli to zaczęli strzelać. Było to bardzo blisko domu. Huk był tak ogromny, że doznałem szoku i straciłem przytomność. Podobno walka trwała krótko, a Polacy wycofali się. A może powodem był wybuch czołgowego pocisku niemieckiego na piętrze domu wujka? Jednak to w zupełności wystarczyło, by mój czteroletni organizm został wytracony z równowagi.

Nasze mieszkanie w Śródmieściu uległo zniszczeniu i nie było do czego wracać, zamieszkaliśmy więc u babci na Brukowej 29. W pobliżu na ulicy Kępnej były wypalone ruiny domu z dwoma czarnymi oczodołami po oknach. Nigdy niczego się tak nie bałem jak tych czarnych okien w ogromnej szczytowej ścianie! Ilekroć trzeba było tamtędy przechodzić chowałem się mamie pod płaszcz i bałem się patrzeć. Budziłem się nocą z płaczem i opowiadałem o tym. W czasie powstań w 1943 i 1944 roku podobnych i straszniejszych ruin było znacznie więcej, więc później przyzwyczailem się do ich widoku. Większe znaczenie miało jednak codzienne zagrożenie życia, co bardzo szybko zacząłem rozumieć.

Po śmierci babci w 1940 roku mama przeniosła się z nami na Wolę na ulicę Płocką. Mojego ojca Niemcy aresztowali jeszcze w 1939 roku, zaraz po zajęciu Skarżyska. Przeżył pobyt w więzieniu oraz obóz koncentracyjny. Jako inżynier uzbrojeniowiec od 1941 roku pracował przymusowo w tajnych zakładach wojskowych w okolicach Gross Rosen na terenie Niemiec, gdzie spędzono z całej podbitej Europy wielu podobnych fachowców. Ocalał dosłownie cudem. Spotkaliśmy się dopiero pod koniec roku 1945. Zmarł w Warszawie w 1981 roku przeżywszy 89 lat. Pozostała po nim pamięć do dziś wyciska mi łzy z oczu. Pochowałem go jak i Matkę moją w rodzinnym grobie na Powązkach.

Moja Matka, doskonale znająca język niemiecki, pracowała o ile pamiętam w jakimś biurze. Ja cały dzień byłem pod opieką starszej o kilka lat siostry. Żył nam się jak wszystkim warszawiakom – skromnie i smutno. Szok doznany w 1939 roku dawał znać stanami leków i wymagałem bardziej troskliwej opieki niż dzieci zupełnie zdrowe. Wydarzenia tak tragiczne i częste w latach wojny jak łapanki i uliczne egzekucje też przecież były niemożliwe do ukrycia przed małym dzieckiem. Raz mama, spędzona wraz z innymi przechodniami do oglądania ulicznej egzekucji, schowała mnie pod ubranie. Jeden z Niemców doskoczył i wrzeszcząc kazał mi oglądać śmierć tych ludzi. O ile dobrze pamiętam było to naprzeciw sądów na Lesznie. Nie wyobrażam sobie dziś mojej osoby w ówczesnej sytuacji mojej Matki. Nie chcę o tym myśleć, lecz zapomnieć nie potrafię.

Matka nasza – bardzo nas kochająca – wszelkimi sposobami starała się ukryć przede mną okrucieństwa okupacji niemieckiej. Nawet o więzionym przez Niemców moim ojcu rozmawiano ukradkiem, mnie zaś tłumaczono jego nieobecność koniecznością pracy gdzieś daleko. Któregoś dnia ktoś przyniósł list od niego pisany już w Niemczech. Wiadomo więc było, że żyje, ale nie może do nas przyjechać. Nie rozumiałem tylko dlaczego mamusia i siostra płakały skoro on przecież gdzieś żył, gdzie istniał.

Dzięki zachowanej biżuterii mamy głodu nie było. Mamusia pomagała nawet swoim znajomym, którzy byli w gorszej od nas sytuacji materialnej. W roku 1943 przenieśliśmy się z ulicy Płockiej na róg Chłodnej i Żelaznej w pobliżu mostu łączącego obydwie części Getta. Tam mieszkaliśmy do chwili wybuchu powstania w Getcie. Z naszych okien widać było pożary, wysadzone przez Niemców budynki i ludzi skaczących z okien palących się domów. Mamusia zdecydowała się na kolejną przeprowadzkę. Zresztą za kilka dni Niemcy i tak wszystkich z naszego domu usunęli. Trafiliśmy na ulicę Wilczą do mamy przyjaciółki, która zgodziła się nas przyjąć do siebie. Okazało się, że w jej mieszkaniu był punkt kontaktowy Armii Krajowej, który niebawem przeniesiono gdzie indziej. U tej pani wraz z kilkoma dziećmi w moim wieku zostałem uczniem pierwszej klasy szkoły podstawowej. I tam również podczas rozmowy dorosłych na temat powstania żydowskiego ktoś nieostrożnie użył określenia „spadochroniarz” – tłumacząc, że tak Niemcy nazywali przerażonych Żydów wyskakujących z okien palących się domów.

U cioci Ewy na Wilczej mieszkaliśmy do pierwszego sierpnia 1944 roku, to jest do wybuchu Powstania Warszawskiego. Początkowo tylko z opowiadań dowiadywaliśmy się o okropnościach jakich doświadczali mieszkańcy Starówki, Ochoty czy Woli. Uciekinierzy stamtąd przynosili przerażające relacje o niemieckich zbrodniach dokonywanych na ludności cywilnej. Mieszkańcy Śródmieścia w tych pierwszych dniach powstania czuli się jakby gdzieś na uboczu, poza tymi wydarzeniami, cieszyli się wolnością, brakiem Niemców na ulicach. Ten stan iluzorycznego bezpieczeństwa nie trwał jednak długo. Niemcy stopniowo zajmowali kolejne fragmenty miasta i odgłosy walk były coraz bliższe nasze-

go nowego lokum. Zaczęły się bombardowania lotnicze. Po kilku dniach przenieśliśmy się z innymi lokatorami do piwnic naszego domu. Było tam również wiele rodzin, które uciekły z Woli.

Chyba w połowie sierpnia w budynek trafiły pociski zapalające z „szafy”. Wybuchł pożar. Uciekliśmy kilka domów dalej. W palącym się budynku pozostał cały nasz skromny dobytek. Zaczął się okres strachu przed bombami i głód. Brakowało też wody. W nowym miejscu byliśmy chyba już do końca powstania. Warunki były straszne – ciągły huk wybuchów, dym z palących się domów, jęki rannych, których było bardzo wielu, smród ludzkich odchodów, brak jedzenia i wody. Tego się nigdy nie da zapomnieć! Kapitulationi powstania spodziewaliśmy się niebawem, pozostawała tylko niepewność jak Niemcy postąpią z pokonanymi. Panowało ogólne przekonanie o ich bestialstwie wobec ludności cywilnej.

Na początku października walki ustały i Niemcy wypędzili ludzi w kierunku Woli i Ochoty. W pewnym momencie z idącej kolumny zaczął uciekać młody mężczyzna. Hitlerowcy zaczęli do niego strzelać. Kiedy go ranili, wycofał się pomiędzy idących ludzi, a tam go dobili. Przy tej okazji ja zostałem postrzelony w lewą nogę poniżej kolana. Pocisk przebił mi nogę na wylot. W związku z tym, że strzał oddany został z bliska i panował ogólny popłoch, nawet nie bardzo poczułem ból. Było zresztą więcej rannych. Po ponownym ustawieniu kolumny marszowej na jezdni pozostało kilka zwłok. Mama z siostrą niosły mnie pod ręce kilkanaście minut zanim ktoś nie zaalarmował, że bardzo krwawię. Nie wiem co było dalej, bo zemdlałem. Podobno jacyś mężczyźni nieśli mnie dalej w środku kolumny „na stojąco”, żeby Niemcy nie zauważyli rannego, bo mogliby mnie po prostu dobić, jak się zdarzało. Już na Okęciu ktoś dał mamie cudem ocalały zrzutowy opatrunek angielski i nogę mi opatrzone. Dowieziono nas do Pruszkowa i znaleźliśmy się w ogromnej hali fabrycznej wśród tysięcy ludzi wygnanych z Warszawy. Ja miałem gorączkę. Ktoś dał mi jakieś lekarstwo, ktoś inny przyniósł wody. Oczekiwaliśmy na transport w nieznaną. Często traciłem przytomność i niewiele pamiętam, poza tym, że bardzo cierpiałem. Moja kochana mamusia nie tylko ze mną miała kłopot – musiała jeszcze chronić siostrę, której wiek kwalifikował ją do wywózki na roboty do Niemiec. Po dwóch dniach złoto, które mama jeszcze posiadała, a także znajomość języka niemieckiego uratowały nas z opresji. Dogadała się z jakimś oficerem i ten wywiózł nas z obozu w Pruszkowie. Byłem wtedy jeszcze w szoku po zranieniu, więc niewiele sobie przypominam, ale mama opowiadała, że jechaliśmy dużą ciężarówką, w której było około dwudziestu osób. Podobno po drodze tę ciężarówkę zatrzymała żandarmeria wojskowa. Niemcy zaczęły się kłócić między sobą, ale widocznie wywożeni ludzie musieli sporo zapłacić, bo w końcu dogadali się w sprawie okupu i darowali nam życie.

Po szczęśliwym zakończeniu „wycieczki” z Pruszkowa za kilka dni znaleźliśmy się w Skarżysku na tak zwanej „Wytwórni”, gdzie byli pracownicy mojego ojca przechowywali nas w bardzo serdecznej atmosferze aż do końca wojny. W zupełnie niewytłumaczalny medycznie sposób nie dostałem żadnego zakażenia czy wręcz gangreny. Lekarz z prawdziwego zdarzenia zajął się mną dopiero tam, to jest po około dziesięciu dniach i widać na zasadzie „złego diabła nie biorą” nogę mam do dziś. Pozostały jedynie blizny po obu stronach. A lekarz ze Skarżyska nie umiał tego wytłumaczyć, gdyż według jego wiedzy to się nie powinno absolutnie samo wygoić!

Zakłady w Skarżysku, w których mój ojciec pracował przed wojną, produkowały różną amunicję. W czasie okupacji hitlerowskiej funkcjonowały pod nazwą „HASAG”. W jednym z oddziałów nalewano do pocisków artyleryjskich materiał wybuchowy. Pracowali tam Żydzi, których umieszczono w barakach przy torach kolejowych opodal fabryki. Opary gorącego trotylu zawierały podobno tak zwaną pikurynę powodującą zmianę koloru skóry na całkowicie żółtą. Ludzie szybko umierali. Chyba przed samą zimą 1944 roku, kiedy wybuchła epidemia tyfusu, usłyszeliśmy któreś nocy salwy z broni maszynowej. Wszystkich Żydów zlikwidowano, a baraki spalono podobno wraz z żyjącymi jeszcze ludźmi. Tę straszną noc pamiętam do dziś. Mieszkaliśmy niezbyt daleko w tak zwanej „Kolonii Robotniczej”. Oglądałem to miejsce znacznie później z wielkim strachem i ze zgrozą. Byłem wtedy dziewięciolatkiem, lecz jasno wiedziałem, że w wojnę winni bawić się jedynie dorośli i to na zupełnym odludziu.

W tym czasie w jednej z łapanek pochwycono moją dziewiętnastoletnią siostrę. Mama znów dzięki znajomości języka niemieckiego i pomocy lekarza stomatologa – Niemca o nazwisku Holub – wyciągnęła ją z wagonu, w którym miała jechać na roboty do Rzeszy. Przypuszczam, że i tym razem przydało się mamy złoto.

Późną jesienią 1944 roku do mojej siostry przyszedł z wizytą jej rówieśnicy – chłopcy z lasu – miejscowi AK-owcy. Siostra grała na pianinie, na którym był dosłownie cały arsenał przyniesiony przez jej przyjaciół z dzieciństwa. Byli u nas ze dwie godziny. Wspomniany lekarz Holub mieszkał „na kwaterze” za ścianą i doskonale się w sytuacji orientował. Dopiero po odejściu tych chłopców przyszedł cały drżący do naszej mamy i gorąco upominał, aby takie spotkania się więcej nie odbywały. Pamiętam jak nieporadnie tłumaczył mamusi, że wisielibyśmy wszyscy na jednej gałęzi. Jednak przemilczał to wydarzenie i swoim władzom nie zgłosił.

Całkowitym przeciwieństwem Holuba był SS-man o nazwisku Hemke, który chciał mego ojca w 1939 roku zastrzelić, ale ówczesny dyrektor zakładów – też Niemiec – zdecydował: „to inżynier, niech pracuje dla dobra Trzeciej Rzeszy”. Hemke był wojskowym komendantem zakładów w Skarżysku. Straszny zbir, wielce się miejscowym ludziom „zasłużył”. Zaraz po przejściu frontu złapano go, przywieziono do Skarżyska i jak słyszałem dokonano samosądu. Podobno powieszono go za nogi w Kamiennej koło „Wytwórni” i przez dwa dni ludzie oglądali go jak zdychał. Mnie nie pozwolono tego oglądać. Może i lepiej, bo jak na kilkulatka i tak wiele już widziałem. Za wiele.

Jako syn inżyniera „uzbrojeniowca”, nie mogąc zawieść oczekiwań ojca, w którego powrót niezachwianie wierzyłem, rozpocząłem zbrojenia na własną rękę i z całym poświęceniem. A było to tak. W styczniu 1945 roku Sowieci przegonili Niemców robiąc tak zwany „kocioł” – jak pod Stalingradem. Ten „nasz kocioł” zamknięto gdzieś koło Częstochowy. Po kilku dniach ujrzyliśmy długie kolumny Niemców – już jako jeńców wojennych – pędzonych na wschód. A pilnowało ich kilku „kałmuków” z karabinami na sznurkach! W związku z tym, że uciekający w popłochu Niemcy pozostawili wiele wojskowego sprzętu, a Sowieci jeszcze nie zdążyli go pozbiierać, wspólnie z kilkoma rówieśnikami zaczęliśmy pomagać „sojusznikom” w tych porządkach. A było co zbierać. Magazyn różnej amunicji i min przeciwczołgowych urządziliśmy koło domu naszych gospodarzy, w ich ogródku – oczywiście bez zgody. Nie mogę dziś uwierzyć w jakieś idiotyczne szczęście, które pozwoliło przeżyć te nasze starania. Dość powiedzieć, że samych granatów móżdżerzowych zebraliśmy kilka skrzynek. Przypuszczam, że ogółem było tego towaru kilkaset kilogramów. Oczywiście wszystko przykryliśmy pieczołowicie śniegiem, by nam nikt tego skarbu nie ukradł. W końcu zajęli się nim sowieccy saperzy, którzy uprzednio w promieniu kilometra ewakuowali mieszkańców, a o naszej działalności bardzo brzydko się wyrażali. Ja oczywiście do niczego się nie przyznałem. Niestety, nie udało mi się zachwycić tym mego ojca, który pewnego dnia pod wieczór – już w lecie 1945 roku – powrócił do nas. Dopiero tego dnia tak naprawdę skończyła się dla mnie wojna. I przestałem też marzyć, że zaraz po wojnie będzie dużo kaszanki i czekolady!